



Juliusz Verne

Tajemnicza wyspa (Część trzecia)



ISBN 978-83-66268-00-5 (całość)

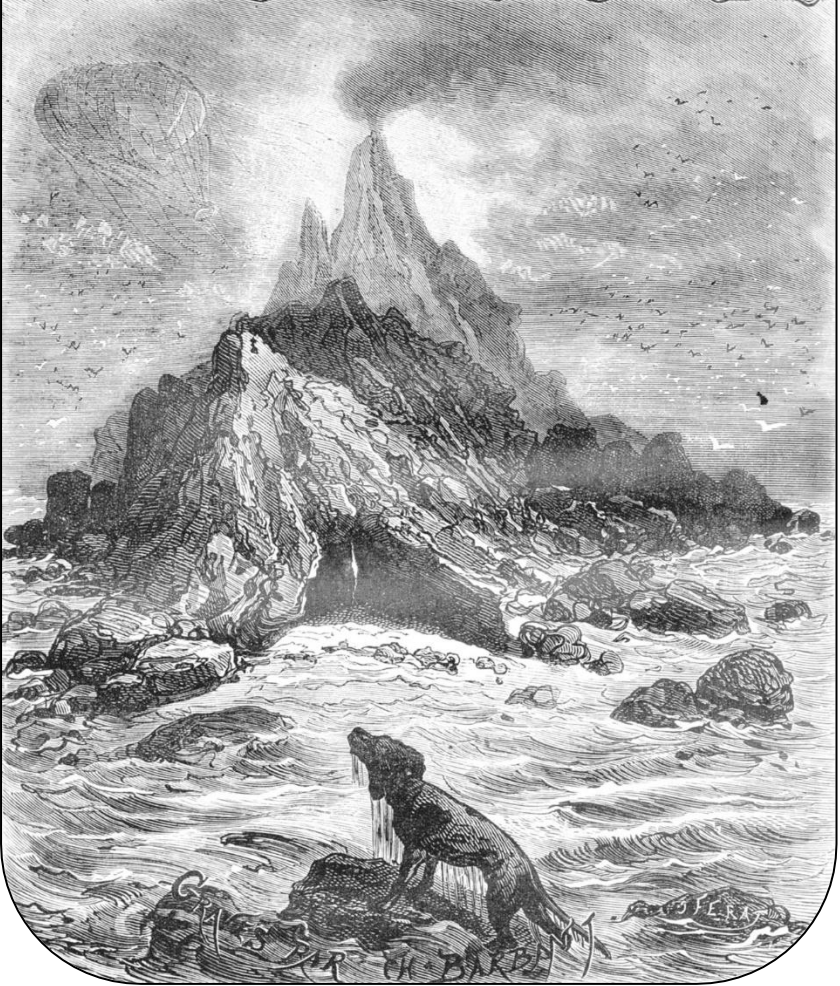
ISBN 978-83-66268-03-6 (cz. 3)

L'ILE MYSTERIEUSE

PAR Jules VERNE

154 Dessins

par J. YERAT

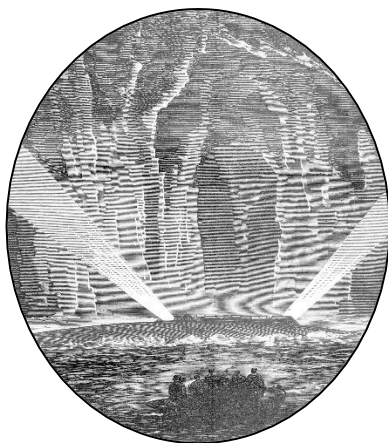


Juliusz Verne

TAJEMNICZA WYSPA

**Część trzecia
Tajemnica wyspy**

Juliusz Verne



TAJEMNICZA WYSPA

Część trzecia
Tajemnica wyspy

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Sześćdziesiąta czwarta publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego:

L'Île mystérieuse

© Copyright for the Polish translation
by Andrzej Zydorczak, 2019

155 ilustracji, w tym 18 kolorowych oraz mapka wyspy:
Jules-Descartes Férat

(zaczepniętych z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Ilustracje i mapkę podkolorował: Dariusz Kocurek

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

Wydanie I

© **Wydawca: JAMAKASZ**

Ruda Śląska 2019

ISBN 978-83-66268-00-5 (całość)
ISBN 978-83-66268-03-6 (część trzecia)

Rozdział I

Zguba czy wybawienie? – Wezwanie Ayrtona – Ważna dyskusja – To nie jest „Duncan” – Podejrzany okręt – Środki ostrożności – Statek się zbliża – Strzał armatni – Bryg rzuca kotwicę naprzeciw wyspy – Nadchodzi noc

Już dwa i pół roku temu rozbitkowie z balonu zostali wyrzuceni na Wyspę Lincolna, lecz do tej pory nie udało im się nawiązać łączności z innymi ludźmi, swymi bliźniami. Reporter raz próbował skontaktować się z zamieszkanym światem, powierzając ptakowi notatkę zawierającą informację o ich położeniu, lecz była to próba, na którą nie można było poważnie liczyć. Jedynie Ayrton w znanych nam już okolicznościach dołączył do członków małej kolonii. Tymczasem tego dnia, siedemnastego października, na tych zawsze pustych wodach niespodziewanie w pobliżu wyspy pojawili się inni ludzie!

Nie było co do tego wątpliwości! Widać było statek! Jednak czy popłynie on dalej, czy też przybije do brzegu? Oczywiście za kilka godzin koloniści będą wiedzieli, co o tym sądzić i czego się trzymać.

Cyrus Smith i Harbert natychmiast przywołali Gedeona Spiletta, Pencroffa i Naba do wielkiej sali w Granitowym Pałacu i zapoznali ich z tym, co się obecnie działo. Pencroff, chwyciwszy w ręce lunetę, szybko przejrzał cały horyzont i zatrzymał się na wskazanym punkcie, to znaczy na tym, który spowodował powstanie prawie niewidocznej plamki na kliszy fotograficznej.

– Do tysiąca diabłów! To rzeczywiście statek! – wykrzyknął głosem, w którym nie dało się wyczuć zbytniego zadowolenia.

– Płynie w naszą stronę? – spytał Gedeon Spilett.

– Jeszcze nie można tego stwierdzić – odparł Pencroff – ponieważ ponad horyzontem widać tylko jego maszty, a nie można dostrzec ani kawałka kadłuba!

– Co trzeba zrobić? – spytał mody chłopiec.

– Musimy czekać – odparł Cyrus Smith.

Przez dość długi czas koloniści trwali w milczeniu, całkowicie pogrążeni w myślach, ogarnięci emocjami, wszelkimi obawami i wszelkimi nadziejami, które mogły się zrodzić pod wpływem takiego wydarzenia – najpoważniejszego od czasu ich przybycia na Wyspę Lincoln.

Bez wątpienia koloniści nie byli już w sytuacji porzuconych na jałowej wysepce rozbitków, którzy walczą o nędzną egzystencję z macoszą naturą, nieustannie zżeranych potrzebą ponownego zobaczenia cywilizowanych ziem. Zwłaszcza Pencroff i Nab, którzy naraz poczuli się tutaj tacy szczęśliwi i tacy bogaci, że nie bez żalu opuściliby wyspę. Poza tym przyzwyczaili się do swego nowego życia w swej nowej posiadłości, którą, że tak powiem, do tego stopnia ucywilizowała ich inteligencja! Niemniej jednak statek przynosił może również nowiny z kontynentu, być może był to kawałek ojczyzny, który wypłynął na ich spotkanie. Na nim znajdowały się podobne do nich istoty, zatem nic dziwnego, że ich serca zabiły mocniej na jego widok!

Od czasu do czasu Pencroff ponownie brał do rąk lunetę i stał przy oknie. Stąd z najwyższą uwagą przyglądał się statkowi, który znajdował się teraz w odległości dwudziestu mil na wschód. Koloniści wciąż nie mieli żadnego sposobu, żeby zasygnalizować swoją bytność w tym miejscu. Flaga nie została zauważona, wystrzału by nie usłyszano, ognia by nie dostrzeżono.

Mimo to było rzeczą pewną, że wyspa, z dominującą nad nią Górą Franklina, nie mogła ujść spojrzeniem wachtowych na



– Płynie w naszą stronę? – spytał Gedeon Spilett.

pokładzie. Po co jednak statek miałby tu przybijać do brzegu? Czyż to nie zwykły przypadek przywiódł go w tę część Pacyfiku, gdzie, jak wskazywały mapy, nie było żadnego lądu oprócz wysepki Tabor, leżącej zresztą z dala od szlaków zwykle obieranych przez statki oceaniczne odbywające rejsy po polinezyjskich archipelagach, do Nowej Zelandii i na amerykańskie wybrzeże?

To pytanie zadawał sobie każdy z nich, gdy nagle Harbert znalazł na nie odpowiedź.

– Czyżby to był „Duncan”?! – zawołał.

„Duncan”, jak zapewne pamiętamy, był to jacht lorda Glenarvana, którzy porzucił Ayrtona na wysepce i który pewnego dnia miał po niego wrócić. Otóż ta wysepka nie znajdowała tak daleko od Wyspy Lincolna, by statek płynący na jedną z nich nie mógł przepływać obok drugiej. Dzieliło je zaledwie sto pięćdziesiąt mil długości i siedemdziesiąt pięć mil szerokości geograficznej.

– Należy powiadomić Ayrtona – powiedział Gedeon Spilet – i natychmiast go tutaj wezwać. On jeden może nam powiedzieć, czy to jest „Duncan”.

Takiego zdania byli wszyscy, więc reporter podszedł do telegrafu łączącego *corral* z Granitowym Pałacem i wysłał telegram:

Przybywaj niezwłocznie.

Kilka chwil później rozbrzmiał dźwięk dzwonka.

Przybywam – odpowiedział Ayrton.

Potem koloniści nadal uważnie obserwowali statek.

– Jeśli to „Duncan” – powiedział Harbert – Ayrton bez trudu go rozpozna, skoro przez jakiś czas żeglował na jego pokładzie.

– A jeśli go rozpozna, to ogarną go wielkie emocje! – dodał Pencroff.

– Tak – przyznał Cyrus Smith – ale teraz Ayrton jest godny tego, by wejść na pokład „Duncana”, i dałby Bóg, żeby to na-

prawdę był jacht lorda Glenarvana, bo każdy inny statek wyda mi się podejrzany! Te wody są mało uczęszczane i ciągle obawiam się wizyty na naszej wyspie jakichś małajskich piratów.

– Obronimy ją! – wykrzyknął Harbert.

– Bez wątplenia, moje dziecko – odparł inżynier z uśmiechem – lecz wolałbym, żebyśmy nie musieli jej bronić.

– Jedna uwaga – odezwał się Gedeon Spilett. – Wyspa Lincolnna nie jest znana żeglarzom, ponieważ nie ma jej nawet na najnowszych mapach. Nie uważa pan zatem, Cyrusie, że to jest powód, aby statek, zauważywszy niespodziewanie nieznaną ziemię, chciałby ją raczej zwiedzić, niż omijać?

– Z pewnością – przyznał Pencroff.

– Ja też tak myślę – dodał inżynier. – Można nawet twierdzić, że obowiązkiem kapitana jest odnotowanie, a co za tym idzie także rozpoznanie każdego lądu czy też wyspy nienaniesionych jeszcze na mapy, a tak jest w przypadku Wyspy Lincolnna.

– Dobrze – powiedział wówczas Pencroff – przypuścimy, że ten statek podpłynie do brzegu i zakotwiczy w odległości kilku kabli od naszej wyspy. Cóż wtedy uczynimy?

To pytanie padło tak nagle, że przez chwilę pozostało bez odpowiedzi. Po namyśle Cyrus Smith rzekł z właściwym mu spokojem:

– Zrobimy to, co będziemy musieli zrobić, moi przyjaciele: nawiążemy kontakt ze statkiem, wejdziemy na jego pokład i opuścimy naszą wyspę, przejąwszy ją na własność w imieniu Stanów Unii. Następnie wrócimy tu z wszystkimi tymi, którzy będą chcieli nam towarzyszyć, by ostatecznie skolonizować wyspę i ofiarować Republice Amerykańskiej użyteczną bazę w tej części Oceanu Spokojnego!

– Hurra! – krzyknął Pencroff. – To nie będzie wcale mały podarunek zrobiony naszemu krajowi! Kolonizacja wyspy już

przecież niemal ukończona, nadaliśmy nazwy wszystkim jej częściom, mamy naturalny port, możliwość zaopatrywania okrętów w wodę pitną, drogi, linię telegraficzną, stocznię, zakład przemysłowy. Tak więc nie pozostaje nic innego, jak tylko nanieść Wyspę Lincolna na mapy!

– A jeśli ktoś podczas naszej nieobecności nią zawładnie? – zaniepokoił się Gedeon Spilett.

– Do tysiąca diabłów! – wykrzyknął marynarz. – Prędeż tu zostanę sam, by jej pilnować, i słowo Pencroffa, nikt mi jej nie ukradnie, jak zegarka z kieszeni jakiegoś gapy!

Przez całą godzinę nie można było stwierdzić z całą pewnością, czy dostrzeżony statek płynie w stronę Wyspy Lincolna, czy też nie. Wprawdzie zbliżył się nieco, ale jakim kursem się poruszał, tego właśnie Pencroff nie potrafił określić. Ponieważ jednak wiatr wiał z północnego wschodu, można było z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że statek płynął prawym halssem. Poza tym sprzyjający wiaterek sam go spychał na wody w pobliżu wyspy, a przy tak spokojnym morzu nie musiano się obawiać do niej zbliżyć, chociaż głębokość przy brzegu nie była przecież odnotowana na mapach.

Okolo czwartej – godzinę po tym, jak został wezwany – Ayrton dotarł do Granitowego Pałacu. Wszedł do wielkiej sali i powiedział:

– Jestem do usług, panowie.

Cyrus Smith podał mu rękę, jak to miał zwyczaj czynić, i doprowadziwszy go do okna, rzekł do niego:

– Ayrton, prosiliśmy pana o przybycie z pewnego ważnego powodu. Na morzu dostrzegliśmy statek.

Z początku Ayrton pobladł lekko, a jego wzrok na chwilę się zmącił. Potem wychylił się przez okno i przebiegł spojrzeniem horyzont, ale nic nie dostrzegł.

– Proszę wziąć tę lunetę, Ayrton – powiedział Gedeon Spilett – i dobrze się przyjrzeć, ponieważ jest możliwe, że tym statkiem jest „Duncan”, który przybył na te wody, by pana zabrać do kraju.

– „Duncan”! – szepnął Ayrton. – Już!

Ostatnie słowo jakby mimowolnie wyrwało się z ust Ayrtona, który zaraz ukrył twarz w dłoniach.

Czyżby owe dwanaście lat opuszczenia na bezludnej wyspie uznał za niewystarczającą pokutę? Czyżby skruszony winowajca nie czuł się jeszcze rozgrzeszony bądź to we własnych oczach, bądź w oczach innych?

– Nie! – rzekł. – Nie! To nie może być „Duncan”.

– Niech się pan przyjrzy, Ayrton – powiedział wtedy inżynier – ważne jest bowiem, byśmy wcześniej wiedzieli, czego mamy się trzymać.

Ayrton wziął lunetę i skierował ją we wskazanym kierunku. Przez kilka minut, nie ruszając się ani nie mówiąc, obserwował horyzont. Wreszcie powiedział:

– Rzeczywiście, to statek, ale nie sądzę, żeby to był „Duncan”.

– Dlaczego nie miałby to być on? – spytał Gedeon Spilett.

– Ponieważ „Duncan” jest jachtem parowym, a ja nie widzę śladu dymu ani ponad, ani za tym statkiem.

– Może płynie teraz tylko pod żaglami? – zauważył Pencroff. – Wydaje się, że ma wiatr sprzyjający dla jego kursu, a będąc tak daleko od jakiegokolwiek lądu, jest zmuszony oszczędzać paliwo.

– Możliwe, że ma pan rację, panie Pencroff – odpowiedział Ayrton – i że na statku wygaszono paleniska. Niech podpłyń do wybrzeża i wkrótce będziemy wiedzieć, czego mamy się trzymać.

Powiedziawszy to, Ayrton usiadł w kącie wielkiej sali i cały czas milczał. Koloniści rozmawiali jeszcze na temat nieznanego statku, lecz Ayrton nie brał już udziału w dyskusji.

Wszyscy znajdowali się wówczas w stanie ducha, który nie pozwalał im na kontynuowanie jakichkolwiek prac. Gedeon Spilett i Pencroff, jakoś dziwnie zdenerwowani, chodzili w tę i z powrotem, nie mogąc usiedzieć w miejscu. Harberta paliła raczej ciekawość. Jedynie Nab zachował swój zwykły spokój. Czyż jego ojczyzna nie była tam, gdzie znajdował się jego pan? Jeśli chodzi o inżyniera, to pozostawał pogrążony w swych myślach i w głębi duszy raczej się obawiał, niż życzył sobie przybycia tego statku.

Tymczasem statek przybliżył się nieco do wyspy. Wspomagając się lunetą, zdołali rozpoznać, że był to statek dalekomorski, a nie jedna z tych malajskich proa, którymi zazwyczaj posługują się piraci buszujący po wodach Pacyfiku. Można więc było sądzić, że obawy inżyniera nie okazały się słuszne i że obecność tego statku w pobliżu Wyspy Lincolna nie stanowi dla niej żadnego zagrożenia. Pencroff, przyjrzawszy mu się, mógł stwierdzić, że jest to statek otaklowany jak bryg i że płynie ukośnie do brzegu prawym halsem pod dolnymi żaglami oraz pod marszlami i bramslami¹. Ayrton potwierdził jego zdanie.

Jednak płynąc dalej tym samym kursem, statek wkrótce musiał się skryć za Przylądkiem Pazura, gdyż kierował się na południowy zachód. By móc dalej go obserwować, trzeba byłoby się wspiąć na wyżynę przy Zatoce Waszyngtona, w pobliżu Portu Balonu. Była to niekorzystna okoliczność, gdyż dochodziła piąta po południu, a zapadający zmierzch utrudniłby znacznie obserwację.

¹ *Bryg* – dwumasztowy żaglowiec z żaglami rejowymi; *marsle* – żagle rejoye znajdujące się powyżej żagli głównych (foka i grota); *bramsle* – żagle znajdujące się powyżej marsli; „Duncan” był otaklowany jak brygantyna (na tylnym maszcie nie posiadał żagli rejoych), więc Ayrton powinien to zauważyć.

– Co zrobimy, gdy zapadną ciemności? – spytał Gedeon Spilett. – Rozpalimy ognisko, by zasygnalizować naszą obecność na tym wybrzeżu?

Było to bardzo ważne pytanie, a jednak, wbrew niejasnym przeczuciom, które nie opuściły inżyniera, odpowiedź na nie brzmiała twierdząco. Statek mógł przecież zniknąć w ciemnościach nocy i odpłynąć na zawsze, a czy kiedyś pojawi się na wodach Wyspy Lincoln jakiś inny? Kto wie, jaką przyszłość los szykuje kolonistom?

– Tak, musimy dać znać tym na statku, skądkolwiek przybywają – stwierdził reporter – że wyspa jest zamieszкана. Gdybyśmy zlekceważyli szansę, która została nam oferowana, w przyszłości robilibyśmy sobie wyrzuty!

Postanowiono zatem, że Nab i Pencroff udadzą się do Portu Balonu i tam po zapadnięciu zmroku rozpalą wielkie ognisko, którego blask z pewnością przyciągnie uwagę załogi brygu.

Tymczasem w chwili, gdy Nab i marynarz szykowali się do opuszczenia Granitowego Pałacu, statek zmienił nagle kurs i zmierzał wprost na wyspę, kierując się do Zatoki Unii. Ten bryg musiał być dobrym żaglowcem, ponieważ bardzo szybko się zbliżał.

Nab i Pencroff wstrzymali się więc z wyjściem, a Ayrtonowi dano do rąk lunetę, by w ostateczny sposób mógł rozstrzygnąć, czy ten statek jest, czy też nie jest „Duncanem”. Szkocki jacht był także otaklowany jak bryg, pozostawało więc do rozstrzygnięcia pytanie, czy pomiędzy dwoma masztami dostrzeżonego statku, który znajdował się wówczas w odległości jakichś dziesięciu mil, wznosi się komin.

Horyzont wciąż był jasny i można to było teraz z łatwością sprawdzić. Ayrton bardzo szybko opuścił lunetę, i powiedział:

– To absolutnie nie jest „Duncan”! To nie może być on...!

Pencroff ponownie skierował lunetę na statek i stwierdził, że bryg, mający jakieś trzysta czy czterysta ton wyporności, niezwykle wysmukły, znakomicie omasztowany, wspaniale przystosowany do żeglugi morskiej, musiał osiągać wielkie prędkości. Jednak do jakiego kraju należał? Trudno było to stwierdzić.

– Ale na jego gaflu¹ powiewa jakaś bandera – powiedział marynarz – tylko nie potrafię rozpoznać jej barw.

– Za pół godziny będziemy mieli pewność w tym względzie – odparł reporter. – Zresztą jest dość oczywiste, że kapitan tego statku zamierza przybić do brzegu, a zatem jeśli nie dzisiaj, to najpóźniej jutro go poznamy.

– Nie o to chodzi! – powiedział Pencroff. – Lepiej wcześniej wiedzieć, z kim mamy do czynienia, więc chciałbym poznać barwy tego osobnika!

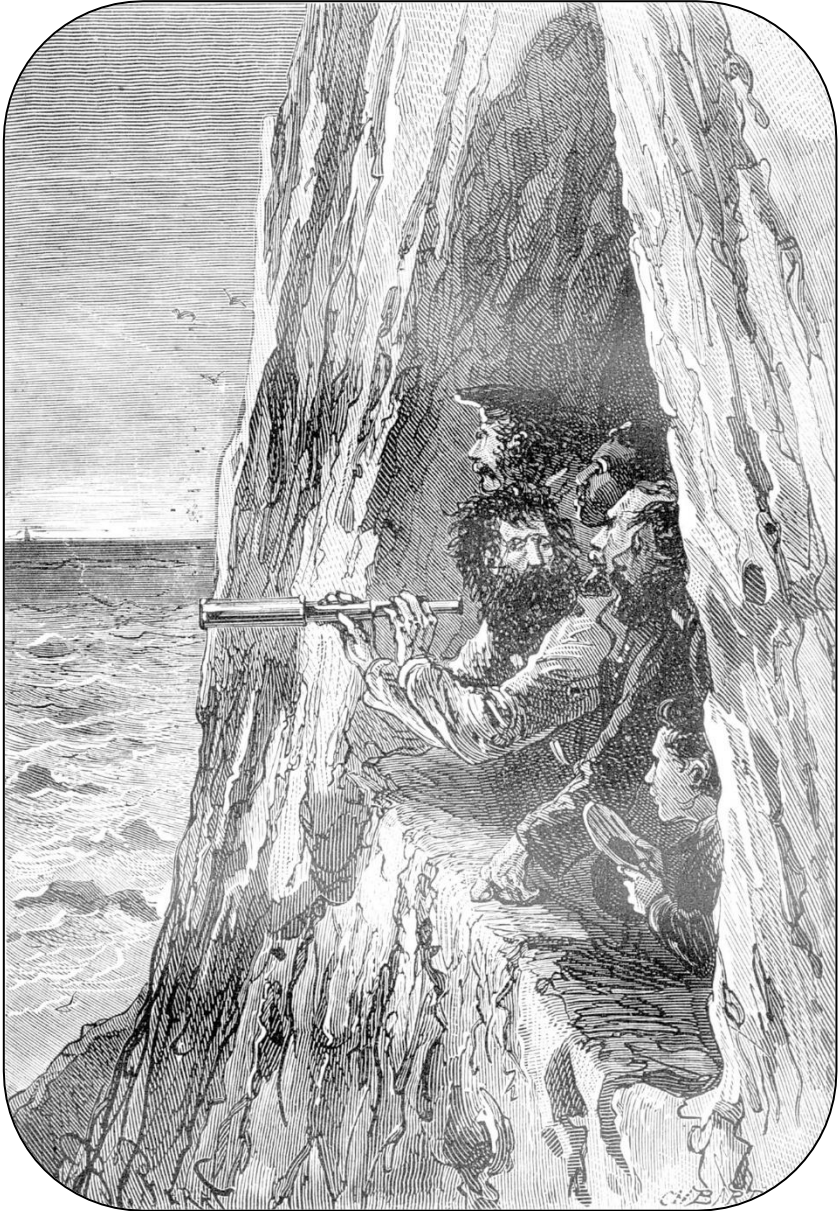
Mówiąc tak, marynarz ciągle patrzył przez lunetę.

Dzień zaczął dobiegać końca, a wraz z tym zaczął cichnąć wiatr od pełnego morza. Bandera brygu, mniej napięta, zaplątała się w fały i coraz trudniej było rozpoznać jej barwy.

– Z pewnością nie jest to bandera amerykańska – informował co pewien czas Pencroff – ani angielska, bo jej czerwień byłaby wyraźnie widoczna, ani francuska czy niemiecka, nie jest to biała bandera rosyjska ani żółta hiszpańska... Można by powiedzieć, że to jednolita barwa... Pomyślmy, jakiej można się najbardziej spodziewać na tych wodach...? Bandery chilijskiej...? Nie, bo jest przecież trójkolorowa... Brazylijskiej? Zielona... Japońskiej? Jest czarno-żółta... podczas gdy ta...

W tym momencie podmuch wiatru uniósł nieznaną banderę. Ayrton, pochwyciwszy lunetę, którą marynarz na chwilę opuścił, przyłożył do niej oko i wykrzyknął głuchym głosem:

¹ *Gafel* – drzewce ruchome, zwykle stawiane i opuszczane razem z żaglem; służy do zamocowania górnej krawędzi (liku) żagli gafflowych; przy postawionym żaglu gafel jest ustawiony ukośnie do masztu; bandera umieszczona jest właściwie pod pikiem, czyli wolnym końcem gaffla.



- To czarna bandera!

– To czarna bandera!

Istotnie, na gaflu powiewała ciemna etamina¹, więc od tej chwili słusznie można było uważać bryg za podejrzany statek!

Czyżby więc inżynier miał rację, żywiąc takie obawy? Czy był to statek piracki? Czyżby trudnił się korsarstwem na tych wodach południowego Pacyfiku, robiąc konkurencję malajskim proa, które jeszcze tutaj grasują? Czego szukał przy brzegach Wyspy Lincoln? Czy traktował ją jako nieznaną, opuszczony ład, mogący stanowić idealną kryjówkę dla zrabowanych ładunków? Czy chciał u jej brzegów znaleźć port, w którym można się skryć na zimowe miesiące? Czy wspaniała posiadłość osadników miała się przemienić w haniebne schronienie – rodzaj stolicy wszystkich piratów Pacyfiku?

Wszystkie te pytania instynktownie pojawiły się w myślach kolonistów. Zresztą nie było żadnych wątpliwości, jak należy rozumieć kolor bandery. Była to naprawdę flaga morskich korsarzy! Równie dobrze mogłaby ona teraz powiewać na „Dunca- nie”, gdyby powiodły się zbrodnicze plany *convicts*²!

Nie tracono czasu na dyskusje.

– Moi przyjaciele – powiedział Cyrus Smith – być może ten statek chce się tylko przyjrzeć wybrzeżom wyspy? Może jego załoga nie wysiadzie na brzeg? To jedyna szansa. Jakkolwiek by było, musimy zrobić wszystko, by ukryć naszą tu obecność. Wiatrak stojący na Płaskowyżu Rozległego Widoku jest zbyt widoczny. Niech Ayrton i Nab pójdą tam i zdemontują skrzydła. Pod gęstym listowiem ukryjemy także okna Granite House. Ogień musi być wygaszony. Niech nic nie zdradzi obecności człowieka na tej wyspie!

¹ *Etamina* – lekka, przezroczysta tkanina z bawełny albo jedwabiu, o prześwitujących oczkach siatki.

² *Convict* (ang.) – skazaniec, zesłaniec.

– A nasza łódź? – zapytał Harbert.

– Och, jest ukryta w Porcie Balonu – odparł Pencroff – i nie wierzę, żeby te łajdaki ją tam znalazły!

Rozkazy inżyniera zostały natychmiast wykonane. Nab i Ayrton weszli na płaskowyż i powzięli niezbędne kroki, by zataić wszystkie ślady świadczące o zamieszkaniu wyspy. Podczas gdy oni się tym zajmowali, ich towarzysze udali się na skraj Lasu Jakamara i przynieśli stamtąd sporą masę gałęzi i lian, które z pewnej odległości mogły sprawiać wrażenie naturalnie zwiastającego listowia i nieźle przesłaniały otwory w granitowej ścianie. W tym samym czasie przygotowano amunicję i broń w taki sposób, by w przypadku nieoczekiwanego napadu mieć je zawsze pod ręką.

Kiedy podjęto te wszystkie środki ostrożności, przemówił Cyrus Smith.

– Moi przyjaciele – rzekł, a w jego głosie można było wyczuć, że jest wzruszony. – Jeśli ci nędznicy zechcą zawładnąć Wyspą Lincolna, będziemy jej bronić, nieprawdaż?

– Tak, Cyrusie – odparł reporter. – Jeśli tak będzie trzeba, wszyscy umrzemy w jej obronie!

Inżynier podał dłoń swoim towarzyszom, którzy serdecznie ją uściskali.

Jedynie Ayrton pozostał w swoim kącie i nie dołączył do osadników. Być może on, dawny *convict*, jeszcze nie czuł się godny być razem z nimi!

Cyrus Smith odgadł, co działo się w duszy Ayrtona, i podszedł do niego.

– A pan, Ayrton – zapytał – co pan zamierza uczynić?

– Spełnię swój obowiązek – odparł Ayrton.

Potem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz przez listowie.

Było wówczas wpół do ósmej. Już dwadzieścia minut wcześniej słońce skryło się za Granitowym Pałacem, a konsekwencji

tego na wschodnim horyzoncie powoli zalegały ciemności. Tymczasem bryg posuwał się powoli w stronę Zatoki Unii. Był już w odległości niespełna ośmiu mil, dokładnie naprzeciw Płaskowyzu Rozległego Widoku, gdyż skręciwszy na wysokości Przyłądka Pazura, zaczął zataczać wielki łuk na północ, korzystając z przyływu. Można było nawet powiedzieć, że już wpłynął do rozległej zatoki, ponieważ linia prosta pociągnięta z Przyłądka Pazura do Przyłądka Szczęki została już za nim na wschodzie¹, po jego prawej burcie.

Czy bryg wpłynie do zatoki? Było to pierwsze pytanie. A gdy już się w niej znajdzie, czy rzuci kotwicę? Tak brzmiało drugie. Może zadowoli go opłynięciem wybrzeża i wróci na pełne morze, a załoga nie zejdzie na ląd? Za niecałą godzinę wszystko się wyjaśni. Na razie kolonistom nie pozostawało nic innego jak czekać.

Cyrus Smith nie bez głębokiego niepokoju patrzył na podejrzany statek z zatkniętą czarną banderą. Czy nie była to bezpośrednia groźba dla dzieła, które on i jego towarzysze tak wytrwale do tej pory realizowali? Czy piraci – nie można było wątpić, że z nich właśnie składała się załoga brygu – zawitali już kiedyś na wyspę, skoro dobijając do niej, wywiesili tę banderę? Czy schodzili już wcześniej na ląd, co by wyjaśniało pewne niewytłumaczalne do tej pory wydarzenia? Czy w niezbadanych jeszcze zakamarkach wyspy nie krył się przypadkiem ich współnik, pragnący się z nimi połączyć?

Cyrus Smith nie wiedział, jak odpowiedzieć na wszystkie te pytania, które sobie po cichu zadawał, ale przeczuwał, że wraz z pojawieniem się tego brygu, sytuacja kolonii może być poważnie zagrożona.

Niemniej jednak on i jego towarzysze byli zdecydowani stawiać opór do upadłego. Czy piraci byli liczniejsi i lepiej uzbrojeni

¹ *Na wschodzie* – u J. Verne'a: na zachodzie.

ni niż koloniści? Bardzo ważne było, by się tego dowiedzieć! Ale w jaki sposób mogli uzyskać informacje?

Zapadła noc. Zniknął księżyc będący w nowiu. Głęboka ciemność spowiła wyspę i morze. Ciężkie chmury skumulowane na horyzoncie nie przepuszczały nawet nikłego blasku. Wraz z zachodem słońca kompletnie ucichł wiatr. Żaden liść nie poruszał się na drzewach, ani jedna fala nie szemrała przy brzegu. Statku wcale nie było widać; na pokładzie pogaszono wszystkie światła i jeśli nawet jeszcze znajdował się w pobliżu wyspy, nie sposób było stwierdzić, jaką zajmował pozycję.

– Ech, kto wie? – powiedział wówczas Pencroff. – Może ten przeklęty statek odpłynie w nocy i o świcie już go tu nie zobaczymy?

Jakby w odpowiedzi na uwagę marynarza na morzu zabłysło żywe światło i rozległ się huk armatniego wystrzału.

Statek ciągle tam był, a do tego miał na pokładzie działa.

Od błysku do odgłosu huku upłynęło sześć sekund, tak więc bryg znajdował się w odległości mili i ćwierci od wybrzeża¹.

Jednocześnie dał się słyszeć zgrzyt łańcuchów wysuwających się z kluz².

Statek zakotwiczył na wprost Granitowego Pałacu!



¹ Chodzi tutaj o milę lądową (1609 m), choć autor powinien użyć mili morskiej (1852 m).

² *Kluza* – okrągły lub owalny otwór w burcie, nadburciu lub powierzchni pokładu, często o wzmocnionych brzegach, przez który przeprowadza się liny cumownicze albo linę lub łańcuch kotwiczny.

Rozdział II

Dyskusje – Przeczucia – Propozycja Ayrtona – Akceptacja propozycji – Ayrton i Pencroff na Wysepce Granta¹ – *Convicts* z wyspy Norfolk – Ich plany – Bohaterska próba Ayrtona – Jego powrót – Sześciu przeciw pięćdziesięciu

Nie było już żadnych wątpliwości co do zamiarów piratów. Rzucili kotwicę w niewielkiej odległości od wyspy i stało się oczywiste, że nazajutrz, używając łodzi, zamierzali dostać się na wybrzeże!

Cyrus Smith i jego towarzysze byli gotowi do działania, lecz mimo determinacji nie mogli zapominać o ostrożności. Może ich obecność pozostanie niezauważona, jeśli piraci zejną na brzeg, ale nie pójdą w głąb wyspy? Przecież mogło się zdarzyć, że podpłynęli tu tylko po to, żeby uzupełnić zapasy wody w Rzece Dziękczynienia, i nie jest wykluczone, że most, usytuowany półtorej mili od ujścia rzeki, a także urządzenia w Kominach umkną ich uwadze.

Po cóż jednak wciągnięto na gafel tę banderę? Dlaczego oddali strzał armatni? Bez wątplenia była to czysta fanfaronada², albo też sygnał, że biorą wyspę w posiadanie! Cyrus Smith wiedział teraz, że statek jest dobrze uzbrojony. Czymże koloniści z Wyspy Lincoln mogli odpowiedzieć działu piratów? Jedynie kilkoma strzelbami.

– Niemniej jednak – zauważył Cyrus Smith – zajmujemy pozycję nie do zdobycia. Nieprzyjaciel nigdy nie zdoła znaleźć otworu dawnego odpływu, kiedy teraz jest ukryty pod trzcina-

¹ *Wysepka Granta* – wcześniej J. Verne cały czas nazywał ją Wysepką Ocalenia.

² *Fanfaronada* – przechwalanie lub popisywanie się swoją odwagą.

mi i trawami, a zatem nie zdołają się dostać do Granitowego Pałacu!

– Ale nasze uprawy, nasza ptaszarnia, nasz *corral*, wszystko, wszystko! – wykrzyknął Pencroff, tupiąc nogą. – Mogą wszystko splądrować, wszystko zniszczyć w ciągu paru godzin!

– Wszystko, Pencroff – odparł Cyrus Smith – a my nie mamy żadnych możliwości, by im w tym przeszkodzić.

– Dużo ich jest? To zasadnicze pytanie – powiedział wówczas reporter. – Jeśli około tuzina, będziemy wiedzieli, jak ich powstrzymać, ale jeśli jest ich czterdziestu, pięćdziesięciu... a może i więcej...!

– Panie Smith – odezwał się Ayrton, podchodząc do inżyniera – czy zechciałby mi pan udzielić pozwolenia?

– Na co, mój przyjacielu?

– Bym przedostał się na statek i rozpoznał siły załogi.

– Ależ, Ayrton – odparł z wahaniem inżynier – ryzykuje pan własne życie...

– Dlaczego nie, panie Smith?

– To więcej niż pański obowiązek.

– Muszę spełnić coś więcej niż tylko obowiązek – odparł Ayrton.

– Podpłynie pan pirogą pod sam statek? – spytał Gedeon Spilett.

– Nie, proszę pana, udam się tam wpław. Piroga nie przepłynie tam, gdzie człowiek potrafi się wślizgnąć.

– Wie pan, że bryg stoi o milę i ćwierć od brzegu? – zapytał Harbert.

– Jestem dobrym pływakiem, panie Harbercie.

– Powtarzam, to ryzykowanie własnym życiem – przestrzegął inżynier.

– Mniejsza z tym – stwierdził Ayrton. – Panie Smith, proszę o to jak o łaskę. Może w ten sposób odzyskam godność we własnych oczach!

– Niech pan zatem płyń, Ayrton – odparł inżynier, który czuł, że odmowa dotknęłaby głęboko byłego *convict*, który znowu stał się uczciwym człowiekiem.

– Popłynę z panem – rzekł Pencroff.

– Nie ufacie mi! – zawołał żywo Ayrton, a potem z większą pokorą dodał: – Niestety!

– Nie, nie! – zaprzeczył Cyrus Smith. – Nie, Ayrton! Pencroff panu ufa! Żle pan zinterpretował jego słowa.

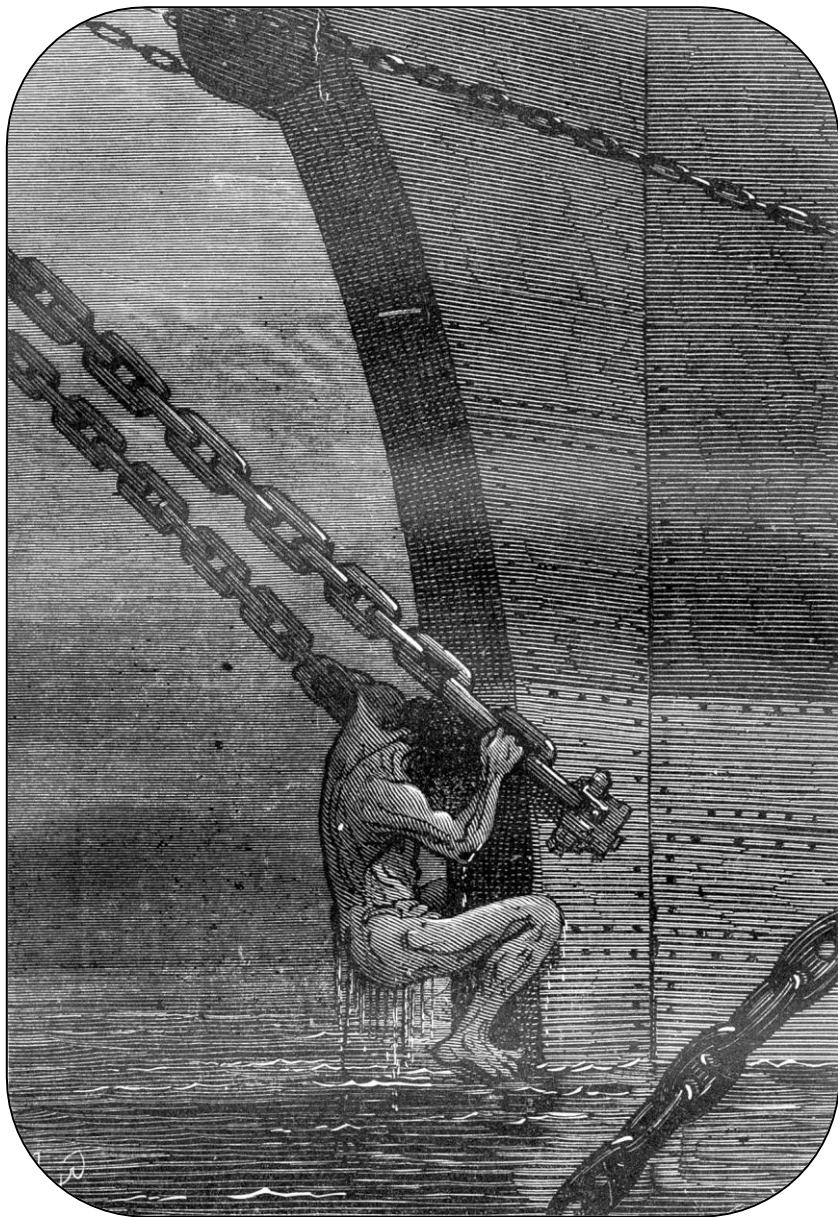
– Rzeczywiście, chciałem zaproponować panu Ayrtonowi, że będę mu towarzyszył tylko do wysepki – odparł marynarz. – Możliwe, chociaż jest to mało prawdopodobne, że jeden z tych łajdaków wysiadł już na ląd, a w takim przypadku dwóch ludzi to nie za wiele, by nie pozwolić mu zaalarmować reszty. Będę czekał na Ayrtona na wysepce, a on sam popłynie do statku, skoro zaofiarował się to zrobić.

Zapadło postanowienie i Ayrton rozpoczął przygotowania do wyprawy. Jego plan był śmiały, lecz dzięki ciemnościom nocy mógł się udać. Kiedy Ayrton dostanie się do statku, uczepi się czy to watersztagu, czy podwiesi burtowych¹ i zorientuje się w liczbie ludzi, a może nawet się dowie, jakie są zamiary *convicts*.

Ayrton i Pencroff razem ze swymi towarzyszami zeszli na wybrzeże. Ayrton rozebrał się i natarł tłuszczem, by dzięki temu mniej cierpieć z powodu temperatury wody, która wciąż była zimna. Rzeczywiście mogło się tak zdarzyć, że będzie zmuszony pozostawać w niej przez kilka godzin.

Pencroff i Nab poszli w tym czasie po pirogę, przycumowaną kilkaset kroków dalej w górze Rzeki Dziękczynienia. Gdy wrócili, Ayrton był gotów do drogi.

¹ *Watersztag* – lina (łańcuch) podtrzymująca bukszpryt (drzewce wystające ukośnie do przodu przed dziób statku) w osi poziomej, biegnąca od końca bukszprytu do dziobnicy; *podwiesz burtowa* (wantownik) – metalowe okucie służące do mocowania want, montowane na burcie lub do szkieletu statku.



Pół godziny później Ayrton, niezauważony i nieusłyszany przez nikogo, kiedy płynął, dotarł do statku i uczeplił się jedną ręką watersztagu bukszprytu.

Na jego ramiona zarzucono pled, i koloniści podeszli do niego, by uścisnąć mu dłoń.

Ayrton wsiadł do łodzi wraz z Pencroffem. Było wpół do jedenastej wieczorem, gdy obaj zniknęli w ciemnościach. Ich towarzysze udali się do Kominów, by tam na nich poczekać.

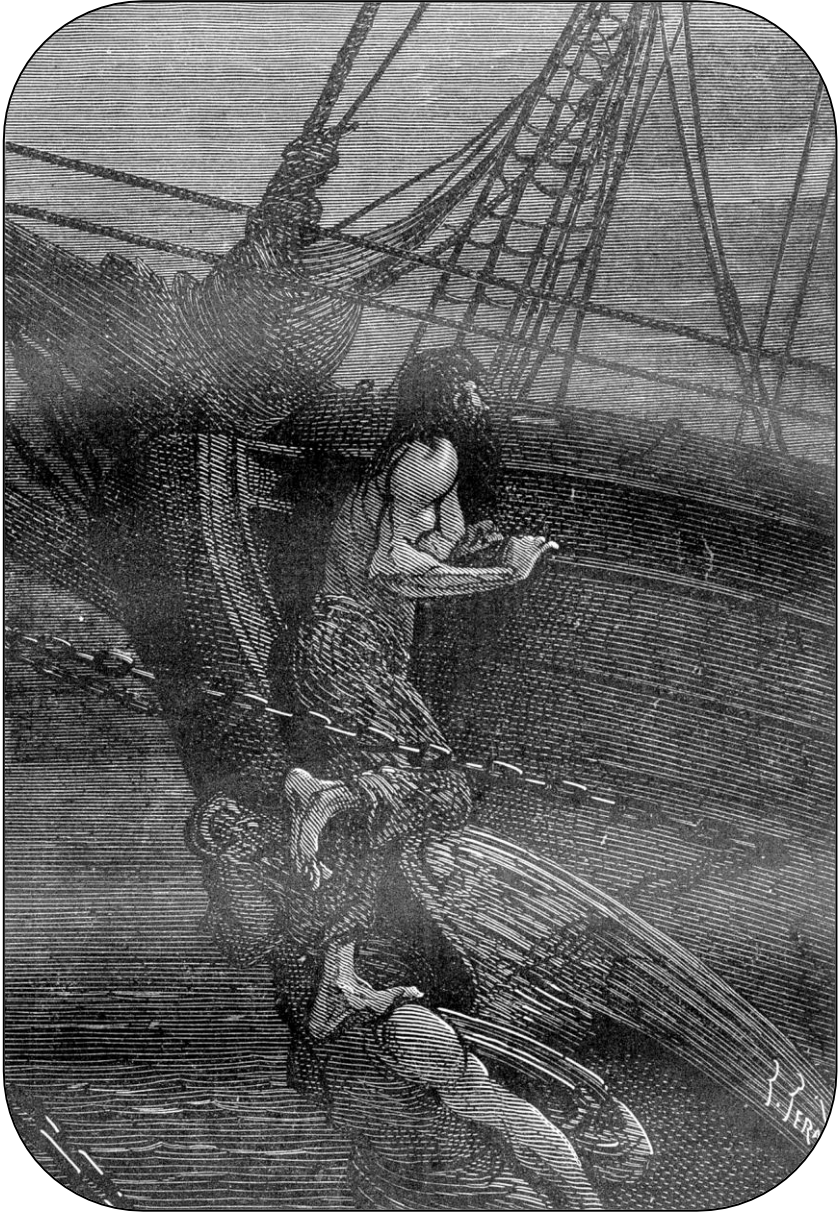
Obaj z łatwością przeprawili się przez kanał i piroga dobiła do przeciwległego brzegu wysepki. Postępowali bardzo ostrożnie, na wypadek, gdyby gdzieś tutaj kręcili się piraci. Po upewnieniu się, że wysepka jest pusta, Ayrton w towarzystwie Pencroffa ruszył szybkim krokiem, płosząc ptaki ukryte w skalnych zagłębieniach. Następnie bez wahania rzucił się do morza i popłynął cicho w stronę statku, którego dokładne położenie wyznaczało kilka niedawno zapalonych świateł.

Jeśli chodzi o Pencroffa, to skulił się w za skalnym załomem na wybrzeżu i czekał na powrót towarzysza.

Tymczasem Ayrton posuwał się energicznymi wyrzutami ramion, przeslizgując się po tafli wody bez powodowania jej silnych drgań. Jego głowa ledwie wystawała nad powierzchnię, a wzrok miał utkwiony w ciemnej masie brygu, którego światła odbijały się w wodzie. Myślał tylko o obowiązku, który obiecał spełnić, nie zważając na niebezpieczeństwa, czyhające na niego nie tylko na statku, ale także w wodach często nawiedzanych przez rekiny. Unoszony przez prąd, szybko oddalał się od brzegu.

Pół godziny później Ayrton, niezauważony i nieusłyszany przez nikogo, kiedy płynął, dotarł do statku i uczepił się jedną ręką watek sznura bukszprytu. Wówczas głęboko odetchnął, a następnie, wspinając się po łańcuchach, dotarł na nadbudówki na dziobie. Suszyło się tam kilka par marynarskich spodni. Wciągnął je na siebie i mocno się trzymając, zaczął nasłuchiwać.

Na pokładzie brygu nikt nie spał, a wręcz przeciwnie: rozmawiano, śpiewano, śmiano się. Pośród rozlicznych przekleństw dotarły do uszu Ayrtona te oto słowa, które szczególnie go uderzyły:



Nietrudno się będzie domyślić, co poczuł Aynton,
usłyszawszy ten fragment rozmowy.

– Ten nasz bryg to dobry nabytek!
– Szybko pędzi ten nasz „Speedy”! Zasłużył na swoją nazwę!¹
– Cała marynarka Norfolku może go ścigać! I tak go nie dogoni!

– „Hurra” dla jego dowódcy!

– „Hurra” dla Boba Harveya!

Nietrudno się będzie domyślić, co poczuł Ayrton, usłyszawszy ten fragment rozmowy, gdy dowiemy się, że właśnie w Bobie Harveyu rozpoznał jednego ze swych dawnych towarzyszy z Australii², zuchwałego marynarza, który kontynuował zbrodnicze plany Ayrtona. Bob Harvey zawładnął w okolicach wyspy Norfolk owym obładowanym bronią, amunicją i wszelkiego rodzaju oprzyrządowaniem brygiem, którego przeznaczeniem była jedna z wysp Sandwich³. Cała jego banda dostała się na pokład, i byli *convicts* przeobrazili w piratów, groźniejszych nawet od samych Malajów, żeby odtąd uprawiać korsarstwo na Pacyfiku, niszczyć statki i mordować ich załogi!

Bandyci rozmawiali głośno, przechwalając się swymi wyczynami i pijąc ponad miarę, a oto, co zdołał zrozumieć Ayrton:

Obecna załoga „Speedy’ego” składała się wyłącznie z angielskich więźniów zbiegłych z wyspy Norfolk.

A czym jest Norfolk?

Na wschód od Australii, na 29° 2’ szerokości południowej i 165° 42’ długości wschodniej, leży mała wyspa o obwodzie sześciu lig, nad którą dominuje Góra Pitta o wysokości tysiąca stu stóp nad poziom morza⁴. To właśnie wyspa Norfolk, na któ-

¹ *Speedy* (ang.) – szybki.

² W *Dzieciach kapitana Granta* nie wymienia się Boba Harveya.

³ *Sandwich* – tutaj: dawna nazwa Hawajów.

⁴ 165°42’ – długość geograficzna została podana według południka paryskiego; *liga* (ang. *league*) – anglosaska miara długości, równa trzem milom angielskim; tu: liga lądowa (*land league*) równa 4828,032 m (linia brzeogo-

rej znajduje się zakład karny¹ dla najbardziej zwyrodniałych angielskich zbrodniarzy. Jest ich tam pięćuset, podlegających żelaznemu rygorowi i najsurowszym, straszliwym karom, pilnowanych przez stu pięćdziesięciu żołnierzy i stu pięćdziesięciu urzędników podlegających gubernatorowi. Trudno sobie wyobrazić większe zbiorowisko łotrów. Niekiedy – choć rzadko się to zdarza – mimo nadzwyczajnego dozoru, pod jakim się znajdowali, kilku udawało się uciec, przez zaskoczenie zawładnąc statkiem i pływać po wodach polinezyjskich archipelagów.

Tak właśnie zrobił Bob Harvey i jego kamraci. Tak też chciał swego czasu uczynić Ayrton. Bob Harvey zawładnął brygiem „Speedy”, zakotwiczonym przy wyspie Norfolk, po wcześniejszym wymordowaniu załogi. Oto już od roku ten statek, który stał się statkiem pirackim, przemierzał wody Pacyfiku pod rozkazami Harveya, niegdyś kapitana żeglugi wielkiej, teraz morskieskiego korsarza, którego tak dobrze znał Ayrton!

Większość *convicts* zgrupowała się w rufówce² w tylnej części statku, ale kilku położyło się na pokładzie i głośno rozmawiało.

Krzykliwa libacja trwała nadal i Ayrton dowiedział się, że czysty przypadek przywiódł „Speedy’ego” w pobliże Wyspy Lincoln. Bob Harvey nigdy jeszcze nie postawił na niej stopy, lecz jak słusznie przeczuwał Cyrus Smith, znalazłszy na swej drodze ten nieznaną łąd, którego położenia nie wskazywała żadna ma-

wa wysepki wynosi 32 km); *Góra Pitta* (Mount Pitt) – najwyższym wzniesieniem wyspy jest *Góra Batesa* (Mount Bates) o wysokości 1047 stóp (319 m), natomiast wysokość *Góry Pitta* wynosi 1043 stopy (318 m).

¹ Ostatni więźniowie z wyspy Norfolk zostali w maju 1855 roku przewiezieni na Tasmanię; w czasie, gdy rozgrywa się akcja powieści, wyspę zamieszkiwali buntownicy ze statku „Bounty” i mieszkańcy Tahiti, którzy przybyli na Norfolk w liczbie 194 osób w 1856 roku, przetrzuceni tam z wyspy Pitcairn.

² *Rufówka* – nadbudówka w rufowej (tylnej) części statku.

pa, wpadł na pomysł zwiedzenia go, a w przypadku gdyby mu odpowiadał, założenia tutaj portu wypadowego dla brygu.

Jeśli chodzi o czarną banderę zawieszoną na gaflu „Speedy’ego” i strzał armatni, który oddali przy zbliżaniu się do wybrzeża, były one tylko piracką fanfaronadą, naśladującą zwyczaje okrętów wojennych. Nie był to żaden sygnał, nic też nie łączyło zbiegów z wyspy Norfolk z Wyspą Lincolna.

Posiadłości kolonistów groziło zatem olbrzymie niebezpieczeństwo. Nie ulegało wątpliwości, że wyspa musiałaby odpowiadać *convicts* swym łatwym dostępem do wody pitnej, małym portem, wszelkiego rodzaju zasobami tak wspaniale wykorzystywanymi przez osadników, przestronnym Granitowym Pałacem. Gdyby dostała się w ich ręce, mogłaby stanowić idealną kryjówkę, a sam fakt, że była nieznana, zapewniałby piratom na długo bezkarność i bezpieczeństwo. Tym samym oczywiście nie uszanowano by życia kolonistów i pierwszym staraniem Boba Harveya i jego współników byłoby ich bezlitosne wymordowanie. Cyrus Smith i jego ludzie nie mieli nawet możliwości uciec i schować się w głębi wyspy, skoro *convicts* zamierzali na niej zamieszkać. Nawet jeśli „Speedy” wypłył na jakąś wyprawę, zapewne kilku członków załogi zostanie na łodzi, by zajmować się gospodarstwem. Trzeba więc było walczyć, wytepić do ostatniego tych niegodnych litości nędzników, przeciwko którym każdy środek w tej walce był dobry.

Tak myślał Ayrton, i wiedział, że Cyrus Smith podzieliłby jego zdanie.

Czy jednak opór, a w końcu zwycięstwo, były możliwe? Zależało to od stanu uzbrojenia brygu i liczby ludzi, którzy na nim przebywali.

To właśnie Ayrton postanowił za wszelką cenę sprawdzić. Ponieważ zaś godzinę po jego przybyciu hałasy zaczęły się uciszać i wielu *convicts* było już pogrążonych w pijackim śnie, Ayrton

się nie zawahał i odważył się wejść na pokład „Speedy’ego”, na którym, po wygaszeniu latarni okrętowych, panowały teraz głębokie ciemności.

Wspiął się więc na nadbudówkę i przez bukszpryt dotarł na przedni pokład brygu. Wślizgnął się pomiędzy *convicts* tu i tam rozciągniętych na deskach, obszedł statek i stwierdził, że „Speedy” był uzbrojony w cztery działa, mogące wyrzucać pociski ważące po osiem do dziesięciu funtów każdy. Sprawdził nawet to, że działa były ładowane odtylcowo. Były to więc nowoczesne działa, łatwe w użyciu i o strasznej sile rażenia.

Co do ludzi leżących na pokładzie, to było ich około dziesięciu, lecz należało przypuszczać, że pozostali, w znaczniejszej liczbie, śpią wewnątrz brygu. Zresztą słuchając ich rozmów, Ayrton ocenił, że na pokładzie znajdowało się ich około pięćdziesięciu. To było zbyt wielu, jak na sześciu mieszkańców Wyspy Lincolna! Jednak dzięki poświęceniu Ayrtona Cyrus Smith nie będzie zaskoczony, gdyż pozna siły nieprzyjaciela, a w konsekwencji poczyni odpowiednie przygotowania.

Ayrtonowi nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko wrócić do swych towarzyszy i zdać im relację z powierzzonej sobie misji, szykował się więc, by przejść na przód brygu i ześlizgnąć się tamtędy do morza.

Nagle temu człowiekowi, który, jak sam powiedział, chciał zrobić więcej, niż nakazywał mu obowiązek, przyszła do głowy bohaterska myśl. Chciał poświęcić swoje życie, by przez to ocalić wyspę i kolonistów. Cyrus Smith nie zdoła się przecież opierać pięćdziesięciu bandytom posiadającym wszelką broń, którzy albo wtargną siłą do Granitowego Pałacu, albo zagłodzą w nim obłożonych. Ayrton wyobraził sobie swoich wybawców, którzy ponownie uczynili z niego uczciwego człowieka, którym zawdzięczał wszystko, bezlitośnie zabitych, owoce ich prac uni-

cestwione, a wyspę zmienioną w melinę piratów! Powiedział sobie, że właściwie on, Ayrton, jest główną przyczyną tylu nieszczęść, ponieważ Bob Harvey, jego były towarzysz, realizuje jego własne plany, i całe jego jestestwo zawładnęło uczucie przeżycia. Ogarnęła go nieprzeparta chęć wysadzenia w powietrze brygu, a z nim wszystkich, którzy na nim przebywali. Sam zginie podczas eksplozji, ale spełni swój obowiązek.

Nie wahał się dłużej. Bez trudu zdoła dotrzeć do składu prochu, który zawsze mieści się w tylnej części statku. Prochu na pewno nie braknie na okręcie uprawiającym takie rzemiosło i wystarczy iskierka, by w jednej chwili go unicestwić.

Ayrton wsunął się ostrożnie na międzypokład¹ pełen śpiących ludzi, bardziej powalonych opilstwem niż zmożonych snem. Przy grotmaszcie stała zapalona latarnia, a wokół niego biegł stojak, w którym trzymano wszelkiego rodzaju broń palną.

Zdjąwszy ze stojaka rewolwer, upewnił się, że jest nabity i gotowy do użycia. Nic więcej nie potrzebował, by dokonać dzieła zniszczenia. Przemyskał więc ku tylnej części statku, starając się dostać pod rufówkę, gdzie powinna się mieścić prochownia.

Na niemal zupełnie ciemnym międzypokładzie trudno jednak było się posuwać, by nie potrącić kogoś z niezbyt mocno uśpionych *convicts*. W tego powodu sypały się przekleństwa i kuksańce. Ayrton kilkakrotnie musiał się zatrzymywać, ale w końcu dotarł do ścianki zamykającej pomieszczenie na rufie i namacał drzwi, które musiały prowadzić do prochowni.

Zmuszony je wyważyć, zabrał się do roboty. Trudno było mu to uczynić bez hałasu, potrzebował bowiem zerwać kłódkę. Jednak w silnej dłoni Ayrtona kłódkę pękła i drzwi stały otworem...

W tej samej chwili czyjaś ręka dotknęła jego ramienia.

¹ *Międzypokład* – pokład położony między głównym pokładem a dnem statku.



– Co ty tutaj robisz? – spytał surowym głosem wysoki mężczyzna, który stojąc w cieniu, zniecacka oświetlił lampą twarz Ayrtona.

– Co ty tutaj robisz? – spytał surowym głosem wysoki mężczyzna, który stojąc w cieniu, zniecała oświecił lampą twarz Ayrtona.

Ayrton odskoczył do tyłu. W błysku światła rozpoznał w mężczyźnie swego dawnego współnika Boba Harveya, sam zaś nie został rozpoznany, gdyż opryszek zapewne uważał go za dawno zmarłego.

– Co tu robisz? – spytał ponownie Bob Harvey, chwytając Ayrtona za pasek u spodni.

Zamiast odpowiedzieć, Ayrton odepchnął mocno herszta *convicts* i próbował się dostać do prochowni. Jeden strzał z rewolweru w beczułki z prochem i wszystko będzie skończone...!

– Do mnie, chłopcy! – zawołał Bob Harvey.

Dwóch czy trzech piratów, zbudzonych jego wołaniem, zerwało się i rzuciwszy się na intruza, próbowało go powalić. Silny Ayrton wyrwał się jednak z ich uścisku. Rozległy się dwa wystrzały z rewolweru i obaj *convicts* padli na ziemię, ale pchnięcie nożem, którego nie zdołał odparować, rozcięło mu ramię.

Ayrton zrozumiał wówczas, że nie zdoła już zrealizować swego planu. Bob Harvey zamknął drzwi do prochowni, a na międzypokładzie słychać było harmider wskazujący, że wszyscy piraci są na nogach. Ayrton musiał się ratować, by móc walczyć u boku Cyrusa Smitha. Nie pozostawało mu nic innego jak uciekać!

Ale czy ucieczka była jeszcze możliwa? Było to wątpliwe, choć Ayrton był gotów zrobić wszystko, by powrócić do swych towarzyszy.

Mógł oddać jeszcze cztery strzały. Strzelił dwa razy, w tym raz do Boba Harveya, ale go nie trafił, a w każdym razie niegroźnie, więc, korzystając z tego, że przeciwnicy chwilowo się cofnęli, popędził w stronę schodków prowadzących do wyjścia z luku, by dostać się na pokład brygu. Przebiegając obok latarni,

rozbił ją kolbą rewolweru i wokoło zapanowała całkowita ciemność, która miała mu ułatwić ucieczkę.

W tej samej chwili trappem schodziło dwóch czy trzech piratów zbudzonych hałasem. Piąty strzał z rewolweru Ayrtona zrzucił jednego z nich na dolne stopnie, a inni usunęli się na bok, nic nie rozumiejąc z tego, co się dzieje. Ayrton dwoma susami znalazł się na pokładzie brygu i trzy sekundy później, wystrzeżliwszy ostatni raz z rewolweru w twarz pirata, który chwycił go za szyję, przerzucił nogi za nadburcie i skoczył do morza.

Nie zdążył odpłynąć nawet na odległość sześciu sążni, gdy wokół niego niczym grad zaczęły padać kule.

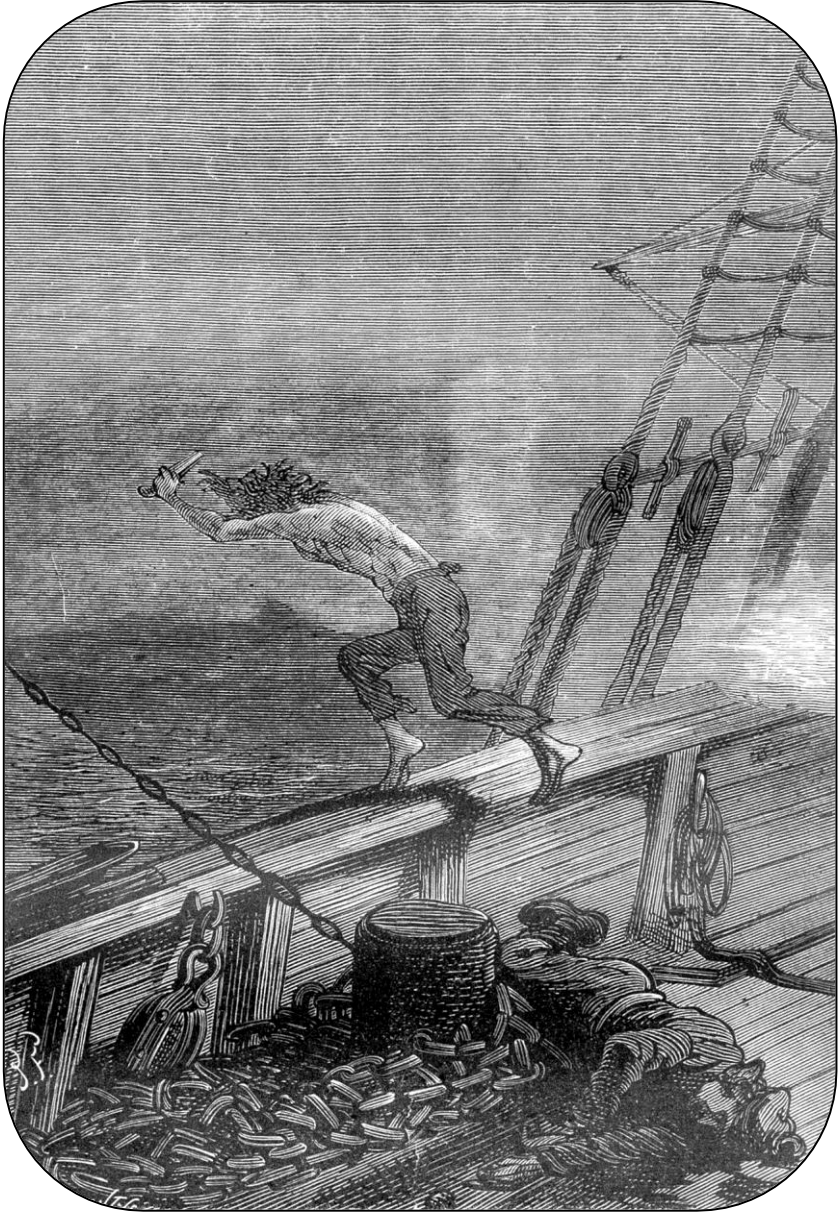
Jakie emocje musiały targać Pencroffem chroniącym się wśród skał na wysepce, a także Cyrusem Smithem, reporterem, Harbertem i Nabem kulącymi się w Kominach, kiedy usłyszeli huk strzałów na pokładzie brygu. Wybiegli na brzeg ze strzelbami w rękach, gotowi odeprzeć każdy atak.

Nie mieli już żadnych wątpliwości! Ayrton został przyłapany przez piratów i przez nich zamordowany. Być może ci nędznicy będą teraz próbowali skorzystać z osłony nocy i wylądować na wyspie!

Pół godziny minęło wśród śmiertelnej trwogi. Tymczasem strzały ucichły, lecz ani Ayrton, ani Pencroff się nie pojawiali. Czy piraci opanowali wysepkę? Czy nie trzeba było biec na ratunek Ayrtonowi i Pencroffowi? Ale jak? W tym czasie trwał przypyływ, co nie pozwalało na przedostanie się przez kanał. Pirogi wciąż nie było widać! Można odgadnąć, jaki straszliwy niepokój ogarnął Cyrusa Smitha i jego towarzyszy!

Wreszcie, około wpół do pierwszej w nocy, do brzegu dobiła piroga z dwoma ludźmi. Byli to Ayrton, lekko ranny w ramię, i Pencroff, cały i zdrowy, których przyjaciele powitali z radością.

Natychmiast wszyscy schronili się w Kominach. Tam Ayrton opowiedział, co się zdarzyło, nie ukrywając wcale swego



Ayrton dwoma susami znalazł się na pokładzie brygu,
przerzucił nogi za nadburcie i skoczył do morza.

pomysłu wysadzenia brygu w powietrze, który starał się zrealizować.

Wszystkie dłonie wyciągnęły się do Ayrtona, który nie taił, jak bardzo niebezpieczna stała się sytuacja. Piraci zostali ostrzeżeni. Wiedzieli, że Wyspa Lincoln jest zamieszkana. Jeśli zejda na brzeg, to tylko całą gromadą i dobrze uzbrojeni. Nie uszanują niczego. Jeśli koloniści wpadną w ich ręce, nie mogli oczekiwać z ich strony żadnej litości!

– No cóż! Przyjdzie nam zginąć! – stwierdził reporter.

– Wróćmy do domu i czuwajmy – dodał inżynier.

– Czy mamy jakieś szanse wyjść z tego cało, panie Cyrusie? – spytał marynarz.

– Tak, Pencroff.

– Hm... Sześciu przeciw pięćdziesięciu!

– Tak! sześciu...! nie licząc...

– Kogo? – spytał Pencroff.

Cyrus nic nie odpowiedział, tylko wskazał ręką niebo.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!